Świat powieściowy.

Nr. 121 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

(Ciąg dalszy)

Gdy ksiądz wszedł, matka szeroko otworzyła oczy, z przestrachem wpatrzyła się w Milunię, w księdza, zwróciła potem spojrzenie na Lolę drżącą i bladą bladością męczennicy, na Arnolda, który stał z wyrytą boleścią na twarzy w nogach łóżka, nad którem krążył już anioł śmierci.

W tej chwili wszystkie władze umysłu wróciły zapewne nieszczęśliwej matce, bo długą chwilę stała nieruchoma, martwa, bez łzy w oku, a gdy nareszcie Arnold zbliżył się, by wyprowadzić ją do swego pokoiku na drugą stronę, odeszła bez oporu, wypiła szklankę wody, którą jej podał, pozwoliła się położyć i okryć, bo dostała gwałtownych dreszczów — i sen mocny skleił suche, gorączką spalone powieki.

Wkrótce przybyły lekarz oświadczył, że chociaż zdrowa na pozór — dogorywa.

Arnold stał się teraz opiekuńczą opatrznością biednej Loli. W całem znaczeniu tego słowa stał się jej bratem, dzieląc z nią wspólnie trudy około dwóch chorych, przepędzając noce całe u ich łoża, pilnując Lolę by się posiliła choć filiżanką rosołu, biegając po lekarzy, lekarstwa i pomagając jej we wszystkiem. Telegrafował po ciotkę, ale ta wieściami okropnemi przejęta, leżała obłożnie chora, nie powiedziano więc jej nawet o telegramie.

Tymczasem młodość Miluni borykała się jeszcze ze śmiercią, a matka spiąc bezprzestannie prawie, usnęła na wieki.

Z kąd Lola czerpała siły do przetrwania i tego ciosu — zkąd mocy do zaparcia się swej boleści dla przedłużenia siostrze kilku chwil życia, jest to dla nas zagadką nierozwiązalną. Prosiła księży, by bez spiewu wyniesiono ciało, które z pomocą Arnolda sama ubrała i włożyła do trumny. Z uśmiechem na ustach powiedziała Miluni, że idzie do apteki porachować się za lekarstwa, brane dla niej i dla matki, której już jest lepiej, i która tylko dla potrzebnego spokoju leży na drugiej stronie, w pokoju Arnolda; poruczyła Milunię Arnolda opiece i poszła odprowadzić ciało matki do miejsca wiecznego spoczynku.

Szła sama za trumną, wśród nielicznego grona sąsiadów i znajomych, którzy — zwyczajnie jak ludzie — pierzchali trwożliwie przed ogromem nieszczęścia.

Na smentarzu dopiero głuchy jęk wyrwał się z piersi biednej dziewicy, a tak straszny i przerażający, że ksiądz na chwilę odwrócił głowę i zaprzestał śpiewu, a znajdujący się wśród orszaku pogrzebowego Alojzy Tarski przyskoczył, by podnieść z ziemi Lolę, która zemdlona padła na śniegiem okrytą ziemię smentarną. Wsadził ją do pierwszego fiakra wraz z jakąś jej znajomą i przed ukończeniem smutnego obrzędu kazał odwieźć do domu.

Milunia nie doznała żadnego przeczucia najstraszniejszej dla dziecka chwili, gdy na ciało matki sypią mogiłę. Była weselszą jak zwykle, prosiła Arnolda by spiewał ulubioną jej piosnkę, chciała jak niegdyś spiewać z nim razem, ale kaszel nie pozwolił na to; — nareszcie rzekła:

— Chwała Bogu, że karnawał się zbliża! Uproszę mamę koniecznie, byśmy byłv choć na jednym balu, bo w jakimż celu uczyłam się tańczyć, gdy niemam się bawić?! Ale czemu pan taki smutny? A jak się ciocia cieszyła, żem tańczyła najładniej ze wszystkich uczennic! Ale ja niechcę z nikim tańczyć, z nikim, tylko z tobą Arnoldzie! Pan się nie gniewasz, że go tak nazywam — nie? Ale ja cię tak kocham — tak bardzo — tak

mocno — o! więcej jak brata, jak siostrę, tak bardzo jak Lolę — może nawet więcej! Wszak to nie jest grzechem — co? — grzechem może? — o! nie, nie! Jesteś taki dobry dla nas — dla mnie — kochasz mię troszkę? — kochasz? — o! ja wiem że kochasz! Jakaś ty strasznie blada Lolu! — zawołała do wchodzącej. — Choraś może? upadłaś? Co ci jest?! Panie Arnoldzie co jej jest?!

— Nic dziecko moje! — odrzekła cicho Lola. — Upadłam, boli mię noga, głowa, ale to przejdzie... Już nic mi nie jest — uspokój się.

W kilka dni potem tak się Miluni polepszyło widocznie, siły zkądeś przybyły, apetyt wrócił, kaszel piersi nie męczył, że Lola w cud gotowa była uwierzyć. Dysponowała ulubione potrawy na wieczerzę, dopytując się ciągle o matkę, i mówiąc, że jutro pójdzie do niej. I w istocie — poszła — bo w sam dzień wigilji Bożego narodzenia, wśród śmiechu, przymierzaniu wstążek, wiązaniu swej błękitnej krawatki na szyi Arnolda, zakaszlała się mocno, krew z ust buchnęła, a w parę godzin potem leżała blada i martwa wśród świec gorejących na katafalku.

Aż póki nie zeszli się księża dla oddania ciału ostatniej posługi, Lola była przytomna i silna. Nikomu prócz Arnoldowi nie dała się dotknąć zmarłej, chodziła na palcach poprawiając co chwila coś ze stroju śmiertelnego, siadała opodal wpatrując się w wypogodzoną twarzyczkę zmarłej, odgartywała włosy, całowała zimne czoło, usta, ręce...

Gdy jednak obce dłonie targnęły się na ukochane zwłoki, z obłędem w oczach chciała wzbronić zabrania ukochanej istoty. Nie długo jednak była wstanie się opierać. Wśród kurczowych, spazmatycznych krzyków runęła na podłogę zemdlona i daleko już był kondukt pogrzebowy, gdy nareszcie zdołano ją otrzeźwić. Bez kapelusza, w narzuconym na prędce szalu, wybiegła z dworku, i pierwszym napotkanym fiakrem wieźć się kazała na smentarz. W pół drogi spotkała kondukt, i wysiadłszy z dorożki, prowadzona przez Arnolda, postępowała za trumną, którą chwilami podtrzymywała rękoma machinalnie, jakby z obawy, by się nie zsunęła z karawanu.

Gdy postawiono trumnę przy grobie, uklękła przy niej i objąwszy rękoma, długo i głośno płakała, szeptając słowa jakieś, których niestety zmarła już nie słyszała. Na odgłos grudek ziemi sypanych, chwyciła się za serce i pierwsza rzekła do Arnolda:

— Jedźmy już, bo czuję, że obłąkania dostać mogę!

Czyż można silić się na odmalowanie bolu, który rozrywał serce biednej, osamotnionej dziewczyny, gdy się zobaczyła samą nie tylko w opustoszałym dworku, ale i na całym szerokim świecie!

W kilka dni przyjechała ciotka, która swą głośną rozpaczą wyrwała Lolę na chwilę z tej apatji duchowej, w którą ją straszliwe nieszczęścia wtrąciły. Ciotka błagała ją, prosiła i zaklinała, by się do niej przeniosła.

— Nie, ciociu moja, nie! — odrzekła Lola. — Ten dom to mój świat cały — przeszłość — wspomnienie... W nim zdaje mi się chwilami, iż obcuję z ukochanymi zmarłymi, którzy może przecież za mną zatęsknią i uproszą Boga, by mnie nie zostawiał tu długo samą — tak biedną sierotą...

— Nie jesteś pani zupełnie samą, póki ja żyję! — zawołał na to Arnold i wziął jej dłoń w swoją. — Zostanę ci zawsze wiernym bratem i nie opuszczę nigdy!

Lola spojrzała mu w oczy i boleśny uśmiech przebiegł po jej twarzy.

— Dobry poczciwy, pan jesteś! Tyle mi dałeś dowodów braterskiego nie tylko przywiązania ale poświęcenia nawet, że wdzięczne moje serce zdobyć się tylko może na słowa: „Niech ci Bóg nagrodzi!“ Ale cóż, kilka miesięcy jeszcze i pan odbiegniesz daleko... ale przyjaźń nasza trwać będzie zawsze i niezmiennie! — wszak prawda?

— Zawsze i niezmiennie! — odrzekł młodzieniec, a na twarz wystąpiły mu silne rumieńce i oczy spuścił ku ziemi.

Ciotka bawiła dwa tygodnie, codzień ponawiając swe prośby, które jednak nie odniosły skutku. Lola obiecała, że w lecie na kilka tygodni ją odwidzi, ale stałe jej mieszkanie pozostanie w dworku rodzicielskim. Zmartwiona ciotka musiała wreszcie odjechać, gdyż szczupłe jej mienie cierpiało w skutek nieobecności i Lola pozostała sama z dawną starą sługą i Arnoldem.

Arnold był młodzieńcem kwitnącym życiem i młodością — Lola pomimo niespełna lat dwudziestu sześciu tak zwiędłą, że nikomu ze złośliwych nie przyszło nawet do głowy rzucić jakieś podejrzenie na stosunek tych dwojga sierot, obcych

krwią, ale pokrewnych swą sierocą dolą.

Gdyśmy się poznali z naszym bohaterem, uspionym wśród nauki, było to w pół roku po śmierci Miluni i zupełnem sieroctwie Loli. Od tych też kilku miesięcy dziwna zaszła zmiana w usposobieniu Arnolda. Z żywego i śmiałego stał się jakimś bojaźliwym i milczącym, pracował prawie nad siły, gdyż, jak mieliśmy dowód, nie pozwalał sobie niezbędnego nawet wypoczynku, z gorączkowym pospiechem przygotowując się do egzaminu dojrzałości. Widocznem było, że jakaś myśl i postanowienie niezłomne zajmowało go całego, że dążył do jakiegoś planu, który dotąd chował w tajemnicy.

— Tak mię jakoś sen zmorzył — powtórzył wśród porządkowania swej toalety. — Musi już być późno. Ciekawym... — i urwał nagle monolog, niedokończywszy czego był ciekawy, lekko się jednak zarumienił i otworzywszy okno, wyglądnął w kierunku zasłoniętych okien drugiej strony.

— Spi jeszcze zapewne... — o! niechaj spi spokojnie! — dodał po chwili ciszej, jakby w obawie zbudzenia spiącej za zaporą drzwi kilku. — Niechaj spi biedna! — i westchnął.

Wnet jednak otrząsł się z chwilowej zadumy i usiadł, powtarzając jakieś łacińskie, niezrozumiałe dla nas wyrazy.

— Jeszcze kilka miesięcy... — rzekł znowu sam do siebie — a potem?... — i rumieniec ciemniejszy przemknął znowu po twarzy młodzieńca. — A potem?... — powtórzył i podparł głowę na ręku. — Co ona powie — jak ona to przyjmie? — szepnął i popadł w taką zadumę, że byłby miał prawo ukarać się srogo, za marnowanie czasu drogiego.

Pomimo ocknięcia się wkrótce i siły woli, którą chciał zapanować nad sobą, litery trzymanej w ręku książki migały mu przed oczyma i składały się w słowa, któremi gdyby odpowiedział na pytanie profesora, z pewnością tenże mimo dotychczasowo celujących postępów ucznia, ze zgrozą zaaplikował by mu dwójkę — trójkę — czwórkę nawet, gdyby ta istniała w okrótnych przepisach szkolnych.

Spojrzenie jego często wybiegało za okno, a gdy spostrzegł już uchylone obok firanki, położył książkę, jakby przyszedłszy do przekonania, że nauka w ten sposób rozpoczęta, nie przyniesie pożądanego owocu. Dawszy więc za wygranę, stanął przy oknie, poprawiając na sobie skromne ubranie i gładząc zaledwie poczynające mszyć się nad kształtnemi ustami wąsiki.

Nie długo niecierpliwił się i czekał, w kilka bowiem minut usłyszał znajome mu starej sługi pukanie i głos:

— Panna prosi panicza na kawę; a proszę iść prędko, bo nalana i wystygnie.

Lola stała pochylona nad małym stolikiem i do czarnego, gorącego napoju dolewała śmietankę. Nie zmieniła się nic od czasu, gdyśmy ją widzieli na pogrzebie siostry. Była szczupła i blada, oczy jej z łez oschły, ale blasku nie nabrały, był w nich tylko wyraz tak wielkiego bolu i rezygnacji, że patrząc w nie, wesoła piosnka musiała by się mimowoli w smutną dumkę rozpłynąć. Włosy jej ciemne, prawie krótko przycięte, bez cienia pretensji spadały na szyję, czarna, żałobna suknia, która ją okrywała, zdawała się być symbolem jej życia. Blade usta barwił jednak uśmiech, jak gdyby nim protestować chciała ciężkiej boleści, która od tak dawna stała się jej towarzyszką.

Uśmiechem też powitała i miłem spojrzeniem wchodzącego młodzieńca, a stawiając przed nim szklankę napełnioną i sama przysuwając sobie drugą:

— Dzień dobry — rzekła. — Pij pan kawę póki gorąca, bo gotuję dla pana taką burę, że odbiegłby cię od niej apetyt, gdybym przed spożyciem to wyrecytowała.

— Za co proszę pani? za co? — spytał zmięszany chłopiec. — Cóż ja złego zrobiłem? co zawiniłem?

— Źle pan bardzo robisz i zawiniłeś pan bardzo — rzekła serjo i z powagą Lola. — Mówiła mi Elżbieta, że wszedłszy raniutko do pokoju pana po zabranie obuwia, widziała żeś się pan niekładł zupełnie i usnął wśród nauki. Jest to ze strony pańskiej niedorzeczne i samowolne targnięcie się na własne zdrowie. Gdy zniszczysz siły fizyczne, cóż ci przyjdzie z wiedzy choćby i świata całego! Nie jesteś pan już dzieckiem przecież, jesteś rozumnym i poczciwym, a postępujesz tak lekkomyślnie! Godziż się to?

— Pani, panno Lolu — tłumaczył się młodzieniec — ja bym tak pragnął zdać już maturę! Tyle jest do nauki, a dnia mi za mało, bo i innych w matematyce przygotowuję. Ja taki zdrów jestem, że noce bezsenne nic mi zaszkodzić nie mogą... ale już więcej tego nie zrobię, jeżeli panią to gniewa.

— Nie gniewa, ale mię martwi. Ja tak się już wzwyczaiła do smutnych następstw, że wszędzie je przewiduję i przeczuwam. Przyrzekłeś mi pan być bratem, także dotrzymujesz przyrzeczenia, niszcząc rozmyślnie swe zdrowie? Chyba się panu ta smutna rola już sprzykrzyła i sprzeniewierzyć się myślisz! — dodała i z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

— Panno Lolu! panno Lolu! — zawołał mocno zmięszany młodzieniec — pani nie myśli, nie może myśleć tak źle o mnie!

— Nie, w istocie tak nie myślę — odpowiedziała podając mu rękę — ale nie rób pan więcej tego, byś całe noce spędzał przy książce. Ja proszę o to — bardzo proszę — wolno mi nawet zabronić absolutnie prawem mego wieku! wszak prawda? W imię tego samego prawa, nie wolno panu gniewać się na mnie, za me gderliwe strofowanie. Nudziarstwo i zrzędność to przecież przywileje starej panny! — dodała z swobodnym uśmiechem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Ciąg dalszy).

XV.

Ślub Armanda z ukochaną Walentyną miał się odbyć niebawem. Nie dało mu to jednak zapomnieć o nieszczęśliwym, któremu pomoc swoją obiecał. Opowiedział Janowi Gerard podróż do Evreux, i rozmowę najświeższą z panem Rousseau. Malarz powinszował mu zamiaru tak szlachetnego. Musiał wracać do Paryża, kończyć obrazy zamówione, obiecał jednak solennie Armandowi, iż przyjedzie na ślub jako drużba jego.

— Spodziewam się również — dodał — usłyszeć wkrótce o twoim pierwszym występie w sprawie Torquenié... To szyk! zaczynać karjerę od procesu podobnego! Będzie to dzwon głośny na całą Francję!

Armand cały dzień następny poświęcił Walentynie. Przepędzili długie godziny w parku, zamek otaczającym. Powietrze było ciepłe i wonne, chodzili zwolna, słodko do siebie przytuleni, po szpalerach cienistych, gwarząc o tem co minęło, rojąc marzenia na przyszłość. Gdy młode dziewczę uczuło się znużone, usiedli na omszonej ławce kamiennej, nie zwracając uwagi, iż wieczór się zbliża.

— Oh! jak ja będę przy tobie szczęśliwą! — Walentyna sparła główkę pieszczotliwie na ramieniu ukochanego. — Jakaż zmiana nastąpi w życiu mojem!

— Aniołku mój drogi!... nie czułaś się więc dotąd prawdziwie zadowoloną?

— Zawsze, gdyś ty był przy mnie! — odpowiedziała z lubą prostotą, wpatrując się w niego swojemi cudnemi oczami. — Gdym ciebie z oczu traciła, starałam się odurzyć, galopowałam na koniu, biegałam po lesie jak student ze strzelbą w ręku... ale gdy raz trzeba było do zamku wrócić!...

Nie dokończyła, a po jej białem łonie i ramionach osłoniętych przejrzystą gazą różową, dreszcz przebiegł.

— Rozumiem! — westchnął Armand wcielając się niejako w myśl smutną a niedomówioną, którą wyczytał z czoła narzeczonej.

— Oh! gdybym cię nie była na drodze życia mojego spotkała! — złożyła ręce jak do modlitwy — gdybym nie spodziewała się roskosznych dni przy twoim boku i z tobą pędzonych! gdybyś ty nie był serca mojego zabrał tak wyłącznie!...

Znowu umilkła, dodając po chwili:

— Czy ty pojmujesz ile cierpi natura jak moja, chciwa poświęceń, czułości, potrzebująca uśmiechów, chcąca wylać się z uczuciem serce rozpierającem, w obec tej twarzy wiecznie smutnej, wiecznie jak noc ponurej!

Ręką wskazywała okno szerokie, otwarte obecnie, w którem rysowała się dokładnie postać sztywna i surowa, siedzącego przy biurku hr. de Trameillan.

— Nigdy słówka czulszego! Nigdy choćby przelotnej pieszczoty!... rodzaj zimnej grzeczności jaka się należy i osobie obcej zupełnie. Czy to się życiem nazywa?! Nie kocha mnie! nie! A i ja — łzę nieznacznie zgniotła w oku — i ja nie powiem, żebym miała dla niego w sercu uczucie, które córka powinna nieść rodzicom, którem naprzykład byłabym ukochała moją biedną mamę, gdyby nie była mnie tak wcześnie odumarła!...

— Nie płacz już nad tem, najdroższa moja! — Armand objął ją czule ramieniem. — Myśl raczej jak ojciec twój dobrym się okazał, oddając mnie, prawie nieznanemu, tę rączkę najukochańszą! Jest usposobienia ponurego i w sobie zamknięty, jak zwykle ludzie pod wpływem pewnej fiksacji. Namiętności polityczne złamały go i serce mu wysuszyły, czyniąc niezdolnym do czulszych uczuć. A jednak widzisz jak dobrym ojcem się okazał, gdy istotnie szło o szczęście twoje. Dziś wyznam ci szczerze, iż nigdy nie marzyłem o tak łaskawej odpowiedzi, gdym się ośmielił sięgnąć po twoją rękę. Znałem jego przesądy co do rodu starożytności, a mój ród co prawda, nie rości sobie najmniejszej pretensji, aby jego przodkowie walczyli już przy boku Ludwika świętego, podczas wojen krzyżowych. I mój majątek twojemu nie dorównywa. Z tego wypada, iż wzruszony naszem szczerem, wzajemnem przywiązaniem, nie wahał się poświęcić dla szczęścia twojego, cokolwiek z swych zapatrywań i marzeń o rodów wielkości.

— Słusznie mówisz mój Armandzie — odrzuciła Walentyna z pewnem roztargnieniem i zmieniła treść rozmowy.

Zapomnieli wkrótce o panu de Trameillan, myśląc wyłącznie o swojej miłości.

Słońce zachodziło a Armand przyrzekł święcie matce, iż wróci na obiad. Nie było zatem chwili do stracenia. Odprowadził do zamku Walentynę, zapowiadając się na jutro wraz z matką, dopiero późnym wieczorem. Dzień cały zabierze mu bowiem schadzka w sprawie nader ważnej. Walentyna słodko się na pożegnanie uśmiechnęła.

— Nie powiedzą przynajmniej, że zaślubiam adwokata bez procesu — wesoło zażartowała. — Oh! jak ja będę dumną, jak się będę cieszyła, słysząc cię mówiącego w sali sądowej!

Schyliła czoło, na którem Armand wycisnął długi, bardzo długi pocałunek, poczem skoczył do lekkiego faetonu i wkrótce znikł na zakręcie drogi. Walentyna odprowadzała go wzrokiem czas jakiś, wreszcie z tęsknem westchnieniem poczęła na schody ganku wstępować, które do sali jadalnej prowadziły.

Armand wstrzymał trochę konie, przejeżdżając koło interesującej go leśniczówki. Przypatrywał się ciekawie schludnemu domkowi, który cały prawie utonął w bujnej zieleni bluszczów i wina dzikiego. Badał tę zieleń, ten płotek z głogu cięty w misterne kabłąki, te kilka drzew rosochatych w ogródku, jak by mógł się czegoś dowiedzieć od niemych świadków scen owych, które tu się niegdyś odgrywały, pochłonąwszy obecnie całą jego uwagę.

O kilka kroków od domu spostrzegł kobietę w czarnej zarzutce z kapuzą na głowę założoną, której wdowy zwykłe używać w Bretanji. Gdy na turkot powozu głowę podniosła, poznał w niej staruszkę na poły szaloną, która tak Walentynę przestraszyła, gdy jej się nagle u stóp pomnika hrabiny de Trameillan ukazała.

Ważna rola, którą staruszka w procesie odegrała, i jej zeznania tak fatalne dla Jakóba Torquenié, dały do myślenia Armandowi, iż nie źle byłoby babinę zaczepić i zręcznie wybadać na własną rękę, zanim będzie sądownie zawezwaną. Wstrzymał konie, któremi sam powoził, udając, że mu się coś w zaprzęgu zepsuło. Był tuż obok węglarki, ta jednak nie zdawała się zwracać na niego uwagi i dalej suche gałęzie skrzętnie zbierała.

— Już tak wcześnie zaopatrujecie się matko w chrust suchy? — zagadał uprzejmie. — Zima jeszcze daleko.

Staruszka nawet się do niego twarzą nie odwróciła. Nie zniechęcony jej milczeniem i niegrzecznością, Armand mówił dalej:

— Ciężko to w waszym wieku tak się schylać i dźwigać na plecach gałęzie. Nie macież nikogo do pomocy? Czyż żyjecie całkiem samotnie?

— Co panu do tego?! — mruknęła gniewnie węglarka, tonem ostrym psa kłótliwego.

— Nie raz widziałem was z okien zamkowych. Wiecie, iż wkrótce poślubiam pannę de Trameillan, chcę was czem obdarzyć z okazji mojego wesela...

Wyjął kilka sztuk złota z kieszonki, węglarka atoli hardo rękę wyciągniętą odepchnęła.

— Nie potrzebuję jałmużny! — rzekła sucho.

Nagle złagodniała i zbliżyła się do Armanda.

— Mój pan mówił mi nieraz o was — uśmiechnęła się dziwnie. — Powinnibyście bardzo kochać...

Urwała.

— Kogo? — spytał Armand.

— Pana mojego!

— No! kocham bardzo jego córkę! — Armand zażartował.

— Trzeba kochać i pana hrabiego!... Trzeba pilnować, żeby mu kto co złego nie zrobił...

— A któż by chciał krzywdzić hrabiego? — zawołał Armand uderzony temi słowami.

— Nikt! nikt! — odwróciła się chmurna i zadąsana. — Ot! sama nie wiem co plotę! Taką mam głowę słabą... takam już stara.. bardzo stara!...

Zaczęła iść ku domowi.

— Czy tam mieszkacie matko? — Armand ręką wskazał leśniczówkę.

— Tam!...

— Toście matko odważni! A nie boicie się upiorów?...

Węglarka upuściła gałęzie i stanęła jak wryta.

— Czego bym się bała? Jakich upiorów?.. O czem to pan mówi? — wlepiła w niego oczy straszne, świecące z jam głębokich blaskiem fosforycznym.

— Niegdyś otruto młodą kobietę w tym domu.

— Eh! Umarłych na twardo ziemią przysypują! Po co by zresztą wracała?... Po co?...

Była jednak okropnie pomięszaną. Twarz żółta i i pomarszczona, drgała kurczowo. Armand zauważył tę dziwną trwogę. Wiedział jak lud wiejski jest zabobonny, i jak łacno wierzy we wszystkie gadki o upiorach.

— Mówiono mi — głos zniżył do szeptu tajemniczego — że widziano ją nieraz snującą się koło domu, przy świetle księżyca.

— Kto? Co?.. o kim pan myśli?... Nigdym nikogo nie widziała!... nigdy!... rozumiesz pan!

— Inni mogli ją widzieć... Mówię o Mariecie, żonie Jakóba Torquenié. Znaliście ją matko... nawet pielęgnowaliście w ostatniej chorobie.

— A czy skarży się, żem ją źle pielęgnowała?! — stara zarychotała śmiechem dzikim i odszukując dawną swoją energję, wpatrzyła się zuchwale w Armanda.

— Powiada, że nie mąż ją otruł.

— Nigdy o tem nic nie słyszałam! Gdyby ją kiedy spotkano, byliby mi o tem donieśli! — mierzyła go dalej wzrokiem pełnym nieufności. — Po co pan wznawiasz takie stare historje?... dawnom już o tem wszystkiem zapomniała!

Krokiem wolnym szła ku domowi. Młody chłopak brudny i ze strzechą włosów płowych, rozczochranych

na głowie, wybiegł naprzeciw starej, odebrał od niej pęk chrustu i pomógł wyjść na kilka schodków ganku drewnianego.

Armand wsiadł do powozu i cmoknąwszy na konie, galopem do Rennes popędził.

XVI.

Nazajutrz rano Armand d'Arçay stawił się na go dzinę oznaczoną u pana Rousseau. Starzec grzał się znowu przed kominkiem, mimo, że dnia tego słońce w całym blasku ziemię ogrzewało. Armand uczuł w sercu litość głęboką dla człowieka przedwcześnie złamanego fizycznie i moralnie, który nosił na sobie ślady niestarte mąk piekielnych, doświadczonych podczas wygnania długoletniego.

Chociaż zapamiętał z lat dziecięcych pewne szczegóły oburzające, o życiu rozwiązłem adwokata, chociaż czuł wstręt nieprzezwyciężony do zasad i wiary politycznej, przez pana Rousseau wyznawanej, nie podzielał jednak admiracji radcy Dubourg dla rozporządzeń Napoleona III., który Francję wyludniał zabierając jej ludzi najzdolniejszych, aby ginęli marnie w klimacie zabijającym Cayenny. Jakże srogo ten człowiek odpokutował, jeżeli nawet był winnym, grzechy młodości i zbytniej może krewkości! Wygnanie pochłonęło zdrowie, siły, talent, wymowę całego człowieka jednem słowem!... wrócił starcem złamanym... kaleką nieszczęśliwym! W obec takiej niedoli, w sercu szlachetnem mogło się tylko odezwać uczucie miłosierdzia.

Skoro Armand z nim się przywitał i usiadł, pan Rousseau wziął ze stolika fascykuł gruby i pożółkły, i rozwinął go sobie na kolanach.

— Oto notatki — wymówił z trudnością, każde słowo niejako z gardła wypychając — które niegdyś pozbierałem w sprawie Jakóba Torquenié. Będą dla pana nader przydatne.

Uderzył po papierach ręką drżącą:

— Przedewszystkiem radbym się dowiedzieć, czy żyją główni aktorowie tego dramatu?

— Mówiłem panu, że widziałem się niedawno z Jakóbem. Co do świadków, nie wiem co się z nimi dzieje, żyje tylko Genoweffa Tinnet, węglarka.

— Ah! świadectwo najważniejsze! — skinął głową pan Rousseau. — Hrabia de Trameillan, czy także żyje?

— Żyje. Zaślubiam wkrótce jego córkę, pannę Walentynę.

Pan Rousseau wlepił w Armanda wzrok przenikliwy. W spojrzeniu tem malowało się najwyższe zdziwienie i pewien niepokój.

— Tak?... Zaślubiasz pan hrabiankę de Trameillan? — powtórzył z naciskiem.

Przymknął oczy i umilkł na chwilę, jakby chciał się nad czemś ważnem namyśleć.

— Skoro ślub pański tak blisko... — rzekł wahająco. — może... nie znajdziesz pan wcale czasu... dla tego biedaka... Lepiej by było powierzyć tę sprawę jednemu z pańskich kolegów...

— Przecież sam mi pan powiedziałeś, iż mam święty obowiązek naprawić to, co przez słabość umysłową popsuł mój ojciec. Skoro ten człowiek jest niewinny, ja muszę zrehabilitować go w opinji. Kocham sercem całem moją narzeczonę, zaślubiając Walentynę urzeczywistniam najsłodsze życia mojego marzenie. Myślę jednak, iż miłość szczera, nie będzie nigdy w niezgodzie z moim obowiązkiem.

— Tak pan myślisz?!...

Pan Rousseau dziwnie się uśmiechnął i dziwnie te słowa zaakcentował. Armand uczuł się tym tonem mocno dotknięty.

— Dla czego pan zdajesz się wątpić o mnie? — żywo odrzucił. — Czyż pan myślisz, iż młodzież dzisiejsza nie ma już wcale wyobrażenia, czem jest honor i czem jest obowiązek?

— Tego nie utrzymuję — pan Rousseau łagodnie odpowiedział. — Widzę w panu najlepsze zamiary, dużo zapału szlachetnego... Może być jednak zbieg wypadków tak fatalny, tak niespodziewany... iż pod tym ciężarem zachwieją się częstokroć i upadną... intencje, które nam się zdawały niewzruszonemi.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? Nic a nic nie rozumiem!

Starzec podniósł się z trudnością, i na lasce oparty przeszedł się krokiem chwiejnym po pokoju. Nagle zatrzymał się przed Armandem.

— Jesteś więc pan na wszystko zdecydowany — spytał tonem ostrym — byle wynaleść prawdziwego mordercę hrabiego de Mortrée, i oddając go w ręce sprawiedliwości, wykazać niewinność Jakóba Torquenié?

— Wszak już raz to panu najsolenniej oświadczyłem! Po cóż tych pytań? Czy masz mnie pan za dziecko? Sam mi powiedziałeś, iż biedny mój ojciec w swojej fiksacji nieszczęsnej wymógł, wymęczył zeznanie na obwinionym, zeznanie zupełnie fałszywe, że on stał się głównym powodem wyroku. Działał jednak bezwiednie, był chorym, nie występnym...

— A gdyby był winnym na prawdę? — rzucił pytanie p. Rousseau, wpijając w Armanda oczy czarne, które na chwilę blask dawny ożywił.

Młodzieniec drgnął i pobladł straszliwie. Odpowiedział jednak bez zawahania:

— Uważałbym wtedy obronę tego człowieka za obowiązek podwójny i... cześć bym mu wrócił z pewnością!

— Dobrze mój młody panie! bardzo dobrze!... — p. Rousseau dłoń mu uścisnął po raz pierwszy z całą serdecznością. — Widzę, że serce u ciebie bije nie od parady, a i odwagi ci nie braknie do spełnienia czynu bohaterskiego, do zaparcia się dla obowiązku choćby „ja" własnego!... Opowiem ci wszystko co wiem o tej sprawie.... To co ci odkryję... sprawi ci może... nader bolesną niespodziankę!... Nie co się tyczy ojca pańskiego... Oto bądź zupełnie spokojnym... Zdanie moje o panu d'Arçay było i jest niezmienne... Prawdziwi

zbrodniarze umieli wyzyskać chorobę jego i zbłąkanie umysłowe... był narzędziem ich szatańskich intryg... nie był nigdy ich spólnikiem! Nie możemy odpowiadać za to, co bezwiednie czynimy.

XVII.

Armanda uderzyły niesłychanie słowa pana Rousseau. Do czego przygotowywał go tak długo i z takiemi ogródkami? Czuł dziwną trwogę w głębi duszy, niby przeczucie nieszczęścia, które niebawem spadnie mu na głowę. Nie mógł jednak objąć myślą całej potęgi ciosu, który miał w niego uderzyć.

Po chwili namysłu pan Rousseau zaczął mówić tem dłużej i nudniej, iż mu przykre jąkanie stawało na przeszkodzie. Będziemy starali się streścić takowe ile możności.

— Spodziewam się — tak zaczął — iż czytałeś z uwagą mój młody panie, Dziennik sądowy, który podawał sprawozdania dokładne o sprawie Torquenié. Mówię tylko o faktach nagich, gdyż rozumowania dodatkowe pana redaktora były najczęściej fałszywemi.

Armand oświadczył, iż przewertował najsumienniej w szczegółach najdrobniejszych, tak świadków zeznania jak i odpowiedzi obwinionego.

— Dobrze. Zacznijmyż od początku, to jest od samego aktu oskarzenia. Jakąż tu już widzimy stronniczość i zamiar z góry powzięty, aby potępić bez miłosierdzia upatrzoną ofiarę. Cóż jest podstawą oskarzenia? Głucha, nieuzasadniona pogłoska, oszczerstwo, które jedna kumoszka kładzie drugiej w ucho, a kolportują dalej leśni rabusie, zniechęceni nieprzedajnością i surowością nieubłaganą Jakóba. Cała krucha budowa na tem oparta. Cóż się dalej dzieje? Chcą jako tako bajkę wymyśloną upozorować. Raz oszczerstwo przyjąwszy do wiadomości, przekręcają fakta; w zupełnie innem świetle przedstawiają charaktery. Z hrabiego de Mortrée, który był wcieleniem honoru i rycerskiej szlachetności, robią wisusa najpospolitszego, Don Żuana do szpiku i kości zgangrenowanego, który człowiekowi poczciwemu wywdzięcza się za uratowanie życia niemal i za gościnność najszczerszą, żony zbałamuceniem! Marietta, tak czuła, tak namiętnie do męża przywiązana, zostaje posądzona o niecną kokieterję, i o chętne przyjmowanie hańbiących ją umizgów hrabiego. Jakóba Torquenié nakoniec, człowieka młodego, żywego, czasem w mowie trochę za prędkiego i za szczerego, ale zresztą serca najlepszego, przedstawiają jako brutala, tyrana, zazdrośnika, zdolnego nawet w swojej zapalczywości zbrodnię popełnić.

Mięszają się w tę sprawę i rozbudzone namiętności polityczne. Hrabia de Mortrée ściągnął był na siebie złość i nienawiść całej szlachty okolicznej, zapleśniałej w odwiecznych przesądach, przez zapatrywania odmienne i szczerym zapałem dla postępu i dla reprezentantów rewolucji z roku czterdziestego ósmego. Całe sądownictwo w Rennes podzielało tę nienawiść dla ludzi postępowych; byli więc uszczęśliwieni ze sposobności nadarzonej, aby bodaj po śmierci w kolorach najczarniejszych pokazać światu pana de Mortrée.

Nie mogę tu zupełnie uniewinnić hrabiego. Popełnił błąd wielki, ale popełnił go szczerem uczuciem pociągnięty. Pokochał wprawdzie do szaleństwa kobietę ślubem z innym związaną, ale nie Mariettę, pokochał nie dla czczej igraszki, nie dla chwilowej rozpusty, ale na życie całe, które oddawał tej kobiecie bez wahania i w istocie stracił je dla niej i przez nią. Któryż z nas śmiałby za błąd podobny, kamieniem rzucić na pamięć nieboszczyka?!

Przejdźmy atoli do faktów. To co panu opowiadam, nie dowiedziałem się za dzień ani za tydzień. Ileż czasu na to potrzebowałem! ile mnie to trudu kosztowało! Musiałem otoczyć te wszystkie zabiegi najgłębszą tajemnicą, aby nie zwrócić uwagi prawdziwych zbrodniarzy. Przeszkadzały mi również w poszukiwaniach czynności biurowe i walki polityczne, w które byłem wmięszany. Inaczej byłbym niezawodnie uwolnił z galer nieszczęśliwego Torquenié, a wysłał tam winnych natomiast. Nim to atoli mogło nastąpić, ciężkie wrogi postarali się uprzątnąć mnie z Francji na długie! długie lata!

Miałem zawsze pewne podejrzenia, które na razie sprawdzić się nie dały. To było wiadomem, iż hrabia de Mortrée przechadzał się często wieczorami w okolicy parku d'Albray, lub nawet w samym jego obrębie; czy jednak do Marietty Torquenié zachodził?

Dnia pewnego wypadek nadzwyczajny, traf szczęśliwy na trop mnie naprowadził, i pozwolił pochwycić w dłonie nić intrygi, która dotąd snuła się tylko w mojej własnej fantazji.

Wiadomo panu zapewne, iż od czasu do czasu, rozmaite francuskie trybunały sprzedają na funty papiery, tyczące się spraw przestarzałych. Raz wchodząc do sali sądowej, uderzyło mnie ogłoszenie podobne. Udałem się tam gdzie papiery sprzedawano i kupiłem na własność fascykuł cały, tyczący się sprawy Jakóba Torquenié, a wróciwszy do siebie, świstek po świstku bacznie przeglądałem.

A teraz przypomnij pan sobie tylko szczegóły dokładnie. Prawda, iż w akcie oskarzenia jest mowa o małej książeczce w okładce niebieskiej, którą znaleziono przy obdukcji nieboszczyka w jednej z kieszeni w pantalonach? Był to jeden tomik Balzaka, z jego arcydzieła „Lilja w dolinie“. — Pomyślałem, iż znajdę może w książeczce bilecik ukryty, słówko bodaj, jakąś wskazówkę najlżejszą. Wiesz pan zapewne z własnego doświadczenia, iż umysł podrażniony jedną myślą i w jednym kierunku wytężony, nabiera dziwnej sprężystości, staje się niemal jasnowidzącym. Przerzucałem kartkę po kartce najuważniej, nic atoli odkryć nie mogłem. Był to sobie tomik najpospolitszy, oderwany od całości, zużyty i obdarty, ale marginesy były białe zupełnie, i nigdzie słówka napisanego nie dostrzegłem. Nie mogłem oprzeć się pokusie i choć to był tomik ze środka wyrwany, zacząłem czytać chciwie

myśli nieśmiertelne ojca naszych romantyków i wzór najdoskonalszy w tego rodzaju literaturze. Oderwać się nie mogłem od czytania nader zajmującego i nawet zdawało mi się, iż o reszcie świata zapomniałem. A jednak myśl moja pracowała bezwiednie w wytkniętym wolą niezłomną kierunku, i widocznie rozczulająca historja bohaterki romansu, pani de Mortsauf, nie pochłaniała w zupełności władz mojego umysłu, gdyż nagle drgnąłem i skoczyłem z fotelu jakby podminowany, jakby blask światła jarzącego rozpędził otaczające mnie w koło ciemności. Oto rozwiązanie zagadki i wytłumaczenie wrażenia gwałtownego, które mnie na razie spiorunowało.

Kartka, którą oczami przebiegałem, była dziwnie podkropkowana, niby ciasteczka drobniutkim maczkiem posypane. Wróciłem wstecz i spróbowałem litery kropkami oznaczone układać porządkiem. Przekonałem się wkrótce, iż formują pewne wyrazy.

Rozumiesz pan teraz moje uczucie? Byłem na tropie korespondencji miłośnej a tajemniczej, do której służył ten tomik najwidoczniej! Ale z kim prowadził takową pan de Mortrée? Po kilko-godzinnej żmudnej pracy, potrafiłem całą ćwiartkę papieru zapełnić. Odczytam ją panu natychmiast. Po stylu i toku myśli uznasz również, iż tak mogła się tylko wyrażać dama ze sfer najwyższych społeczeństwa, a nie kobieta z gminu, którą zaledwie czytać i pisać w szkółce wiejskiej nauczono.

Poszukał w papierach kartki luźnej i czytać zaczął:

„O tobie myślę, o tobie śnię bezustannie mój najmilszy! Obraz twój tak głęboko w sercu wyryty, iż ciągle mam go przed oczyma. Co chwila zdaje mi się, iż głos twój słyszę, iż szepczesz mi do ucha słodkie zaklęcia miłości bez granic, jak w ten czarowny wieczór ostatni, który w parku spędziliśmy, póki nas brzask ranny nie spłoszył. Myślę, iż umiesz mnie ocenić i wiesz, iż nie należę do rzędu kobiet codziennych, tuzinkowych. Słuchaj-że z całą uwagą tego co ci chcę powiedzieć. Nie proszę o sąd łaskawy i wybaczliwy, bo wiem, że oszalejesz z radości wyczytawszy te słowa, i nie potrafiłbyś potępić tej, która ciebie nad wszystko w świecie ukochała!

„Widzisz najdroższy! ja nie posiadam surowych cnót i zasad pani de Mortsauf. Ale bo też nie mam dzieci jak ona! Gdyby ofiara Clochegourd'a nie była matką, nie potrafiłaby była opierać się długo miłości, tak jak ja nie mogę wznieść się do czynu równie heroicznego! Niech więc Bóg będzie miłościwy duszy mojej i niech mi przebaczy to, co uczynić zamierzam. Sumienie własne nic mi nie wyrzuca Dzieckiem prawie wydali mnie za człowieka, który mnie bynajmniej nie kochał. Słówko czulsze z ust jego byłoby mnie może wstrzymało... byłoby honor jego uratowało... Wczoraj jeszcze użyłam wszelkich sposobów, aby to słowo na nim zdobyć, błagałam o nie jak błaga o życie na śmierć skazany!... Nic nie osiągnęłam! Był zimny, nieczuły, srogi jak zawsze! Kołatałam do jego serca, a prośby moje o kamień się odbiły! Nie mogę tak żyć dłużej! Chcę kochać i być kochaną! Widzę się piękną, czuję, iż potrafię człowiekowi ukochanemu ten padoł płaczu w raj przemienić, gdy obecnie sama męki znoszę piekielne! Dwie tylko mam drogi przed sobą: umrzeć lub oddać się tobie.

„Podczas nocy bezsennej rozmyślałam nad temi dwiema ostatecznościami, które zamykają niejako przyszłość moją. Śmierć byłaby niczem. Ale umrzeć znaczy tyle, co ciebie nie widzieć!

„Kość rzucona! Przyjdź dziś wieczór. Moja wierna Marietta powie ci, którędy mógł byś się dostać do mojego pokoju. Porozumiemy się co do wspólnej ucieczki. Odjechać musimy i to jak najprędzej! Nie potrafiłabym z czołem wytartem jak inne kobiety, chować kochanka po za męża plecami i odgrywać rolę cnoty niewzruszonej z miłością grzeszną w sercu. Chcę cię całego posiadać, jak ja ci się oddam z duszą i z ciałem. Przybywaj ubóstwiony! Jedyna miłości moja! przyciśnij mnie do twojego serca wiernego, pozwól upoić się roskoszą nieziemską, o której tak wymownie opowiadały mi słodkie usta twoje w wieczór wczorajszy. Kocham cię!... kocham!...“

Kartkę odczytawszy pan Rousseau umilkł. Potrzebował odpoczynku, a przytem chciał badać w twarzy Armanda, jakie na nim wrażenie to odkrycie wywarło. Armand osłupiał.

— Pan de Mortrée był więc kochankiem hrabiny de Trameillan? — ocknął się po chwili, niby ktoś ze snu głębokiego zbudzony.

Pan Rousseau skinął głową. Po jakimś czasie tak przemówił:

— Rozumiesz pan zatem co się stało? Hrabia de Mortrée stawił się na godzinę umówioną, mąż czy przez kogoś uprzedzony, czy też podejrzywając ich od dawna, napadł z nienacka łapiąc oboje na gorącym uczynku. Pan de Mortrée uciekł na pół ubrany, za nim w pogoń udał się sam hrabia lub któryś z jego sług zaufanych i strzelił do niego, raniąc śmiertelnie. Trzeba było jednak ratować honor mordercy prawdziwego. Wtedy wymyślono podstępnie i złośliwie historję amorów hrabiego de Mortrée z Mariettą. Musiała zapewne — jak pan widzisz z tego listu — z częsta dopomagać kochankom do schadzek i stać na czatach, aby im kto nie przeszkodził. Po to i pan de Mortrée do niej zachodził czasami, aby się o godzinie schadzki w parku lub gdzieindziej dowiedzieć. Było to podstawą dostateczną, aby oskarzyć fałszywie o morderstwo nieszczęśliwego Jakóba.

Teraz uważaj pan tylko bacznie, dalszy przebieg sprawy po zamordowaniu hrabiego de Mortrée.

Marietta dostaje silnej gorączki. Rzecz naturalna, iż musiała być tej nocy świadkiem sceny tak gwałtownej, że przerażenie nabawiło ją choroby. Bezprzytomna nie wie nic o rewizji, która się u nich odbywa. Leżąc w malignie widzi ludzi obcych, wchodzących i wychodzących, nie zdając sobie jednak sprawy z tego,

co się w koło niej dzieje. Mogłaby jej atoli wrócić przytomność, a wtedy opowiedziałaby niezawodnie co się stało w owej nieszczęsnej nocy z 24 na 25 kwietnia! Mogłaby chcieć bronić męża, wyjawiając mordercę prawdziwego. Nie ma zatem czasu do stracenia! Zanim wyzdrowiała, Marietta umiera otruta. Czy pan zgadujesz kto tutaj był najwięcej interesowany i kto tę śmierć nakazał?

We dwa dni po śmierci hrabiego, na dni kilka przed otruciem Marietty, hrabinę de Trameillan wywożą do Nicei, gdzie rozpacz z suchotami połączona, przez dwa lata dobić jej nie może. Zamknięta w ciszy klasztornej, nic nie wie o bożym świecie! Gdzież by mógł dojść aż do niej słaby odgłos jakiegoś procesu, na drugim krańcu Francji, w którym potępią niewinnego, w miejsce jej męża... skrytobójcy! Umiera tam po dwóch latach, wydawszy na świat zdrową córeczkę... pańską narzeczonę, Walentynę de Trameillan.

Oto panie szkic dramatu, ktory poznać chciałeś. Idzie o zrehabilitowanie w opinji Jakóba Torquenie. Czy możesz pan to uczynić, nie wydając w ręce sprawiedliwości zabójcy właściwego? Nie podpada wątpliwości, że hrabia de Trameillan kochanka żony sam zamordował, a śmierć Marietty nakazał komuś, który był mu z ciałem i duszą zaprzedany.

Oddaję w pańskie ręce te papiery. Do ciebie młodzieńcze należy zrobić z nich godny użytek i spełnić powinność!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

III.

— Nie wierzę w czarnoksiężników! — zawołał wesoły notarjusz, który był trochę stracił na humorze.

— A dla Boga! — odrzekł Manuel — muszę mieć rozwiązanie tej zagadki. — I skierował konia pomiędzy drzewa.

Drzewa były wielkie, rozłożyste, a zatem w pewnej odległości jedno od drugiego. Krzaków wcale nie było. Zresztą księżyc świecił prześlicznie i widać było jak w dzień.

P. de. Maugeville i notarjusz objechali każde drzewo, zaglądali wszędzie, nawet na drzew najwyższe szczyty, ale nikogo nie spostrzegli.

— Można się stać zabobonnym — szepnął Manuel.

— Co do mnie — mówił notarjusz, który się trochę otrząsł z pierwszego wrażenia — sądzę, że jesteśmy zmistyfikowani.

— Ale przez kogo?

— Przez jakiegoś kłusownika.

— Rada jednak nie wygląda na mistyfikację.

— Jeżeli rada jest dobra, to nie. Ale może być złą...

— A! — szepnął Manuel zamyślony.

— A więc — mówił notarjusz, powróciwszy znowu na drogę i jadąc zwolna obok Manuela — przypuśćmy rzecz jedną.

— Coż takiego?

— Że masz rywala.

— Co mówisz?! — odrzekł Manuel drgnąwszy.

— Ktoś, tak jak i ty, kocha się w pani de Planche-Mibray.

— Gdyby tak było, zabiłbym go! — odrzekł naiwnie Manuel.

— A jakżebyś wiedział?

— Ona by mi powiedziała.

— Dobrze. Ale ona może nie wiedzieć sama.

— W takim razie — odrzekł młody człowiek śmiejąc się — nie ma niebezpieczeństwa.

— Zgadzam się... Ale twój rywal, może chcieć ciebie oszukać. A więc radzą ci nie jechać do Planche-Mibray, nieprawdaż?

— Tak.

— A dlaczego? Oto dlatego, aby baronowa, która cię oczekuje, przepędziła noc w oknie, wyobrażając sobie wszelkie możliwe katastrofy.

— Wszystko co mówisz może być słusznem — odpowiedział Manuel — ale to wszystko nie tłumaczy mi, zkąd głos pochodził, któryśmy wyraźnie słyszeli.

— To głos jakiegoś kłusownika, ukrytego gdzieś na drzewie między gęstym liściem, a którego nie mogliśmy odkryć — odrzekł notarjusz, sceptyk i niedowierzający.

— A więc rywalem moim byłby kłusownik? — zapytał Manuel z uśmiechem pogardliwym.

— Nie, ale kłusownik może być wykonawcą czyjejś woli.

P. d. Maugeville zamyślił się. Potem dodał nagle po chwili milczenia:

— Czy chcesz kochany sąsiedze wiedzieć całą myśl moją?

— Słucham cię.

— Sądzę, że rada, którą mi dają, jest dobra.

— Ta, aby nie jechać do Planche-Mibray?

— Tak.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. Dziś rano radzono mi już, abym wrócił się z drogi.

— Któż taki?

— Nowy pustelnik.

P. Bompoint wzruszył ramionami.

— I ty wierzysz takiemu żebrakowi, mnichowi? —

— Brehaigne, która patrzyła mi w rękę — ciągnął dalej p. de Maugeville — radziła mi to samo.

— No! — zawołał notarjusz, zaciąwszy konia spicrutą — zdaje mi się, że ty straciłeś głowę zupełnie, panie de Maugeville!

— Jakto?

— Słyszałem przecie, co ci mówiła Brehaigne.

— No, cóż?

— Radziła ci przeciwnie wracać do Planche-Mibray.

— To prawda.

— Podczas gdy znowu radzą ci tam nie jechać. Widzisz więc, że rady nie zgadzają się.

— Masz słuszność — odrzekł Manuel, który starał się zwalczyć przeczucia — jestem głupcem!

— A więc pojedziesz do Planche-Mibray?

— Bezwątpienia.

— Otóż to, co mi się podoba! — zawołał notarjusz. — Zresztą, czego się można obawiać, mając dobrego konia i sztuciec podwójnie nabity?! — Spojrzał na zegarek. — Jest ósma godzina — rzekł — o dziewiątej będziesz wieczerzał sam na sam z piękną panią pałacu de Planche-Mibray. Zresztą — mówił dalej notarjusz — pojedziemy razem aż do „Dęba krzywego,“ a ztamtąd do końca lasu nie ma nawet dwa kilometry.

I jakby chciał odpędzić resztki obawy pana de Maugeville, notarjusz zatrąbił wesoło.

Jednakże w miarę jak zbliżali się do „Dęba krzywego,“ miejsca, w którem się mieli rozłączyć, p. de Maugeville czuł, że serce ściska mu się co raz bardziej.

Dlaczego? Był przecie odważnym; dowiódł to nie raz. A potem, czegoż się mógł obawiać?

Najpierw, był uzbrojony, potem, miał tylko kilka srebrniaków w kieszeni, nareszcie, oprócz familji Balthazar, która miała złą opinję, chłopstwo w okolicy, chociaż który był gdzieniegdzie kłusownikiem, byli to zresztą poczciwi ludziska, a p. de Maugeville był bardzo lubiany.

Wstydził się więc swojej obawy i zaczął dalej rozmawiać z notarjuszem, który wpadł znowu w dobry humor.

W kwadrans potem przybyli do rozdroża Dębu krzywego. Tam droga leśna rozchodziła się, a raczej przecięta była poprzecznie inną drogą.

Ta, którą p. de Maugeville i notarjusz jechali dotąd, prowadziła prosto do Coulanges. Druga prowadziła na lewo do Zamku-Censoir, prawym brzegiem l'Yonny, i była to właśnie droga, którą głos tajemniczy radził skierować się panu de Maugeville.

Notarjusz zatrzymał się.

— Cóż mój sąsiedzie — zapytał — którędy jedziesz?

— Posłucham ciebie.

— Jedziesz do Planche-Mibray?

— Tak.

— Masz słuszność — rzekł p. Bompoint — a jutro rano, o wschodzie słońca, śmiać się będziesz, żeś mógł na chwilę uwierzyć w czarnoksiężników.

Dwaj myśliwi ścisnęli się za ręce, życząc dobrej nocy. Potem notarjusz skierował się na lewo i puścił konia galopem, podczas gdy Manuel jechał dalej tą samą drogą prosto do Coulanges. Jednakże nie ujechał dwadzieścia kroków, gdy uczuł na nowo wszystkie obawy i jakby znowu dziwne przeczucie.

— Może ci się zdarzyć wielkie nieszczęście! — mówiła Brehaigne.

I znowu chciał zawrócić konia i pojechać drogą, która prowadziła nad l'Yonną.

Ale człowiek dwudziesto-pięcio letni, myśliwy, szlachcic i wojskowy, nie tak łatwo usłucha obawy nieuzasadnionej.

— Słowo honoru — szepnął do siebie — jestem szalony, i notarjusz śmiałby się serdecznie, gdyby mię widział!

Otarł pot z czoła i spiął konia ostrogami. Koń puścił się galopem. Nagle p. de Maugeville zatrzymał się. Zdawało mu się, że usłyszał świst. Ale cóż znaczy świst w nocy w lesie?!

Czyż jaki pastuch zakochany nie może mieć schadzki z dziewczyną z folwarku? Lub jaki kłusownik uprzedzać drugiego, że straż nadchodzi?

W dzień las należy do myśliwych, w nocy do złodziei. W dzień brzmią wesołe trąbki i słychać odgłosy wystrzałów, noc należy do tych, którzy nastawiają łapki i siatki na bekasy, a jeżeli przypadkiem wystrzał da się słyszeć, wystrzał kotrabandzisty, wydaje on tylko odgłos głuchy, którego echo niedaleko się rozlega.

— Słowo honoru! — szeptał p. de Maugeville, rozzłoszczony sam na siebie — jestem niegodny imienia, które noszę!

I puścił się w drogę. Nagle koń jego zatrzymał się sam gwałtownie i zaczął strzydz uszami — co u tych zwierząt jest oznaką przezorności, lub też przestrachu gwałtownego. — P. de Maugeville drgnął.

Koń spiąwszy się, z szyją wyciągniętą, z uszami wyprostowanemi, zdawał się wietrzyć jakieś niebezpieczeństwo. W tejże chwili także p. d. Maugeville usłyszał jakgdyby stłumione szczekanie psa i głos ludzki mówiący:

— Cicho Medor, cicho!

Ale wtedy młody człowiek uczuł w sobie dawną odwagę i śmiałość. Niebezpieczeństwo mu groziło, wystarczało to, aby podniósł głowę i śmiało stawił mu czoło. Zsunął sztuciec z ramienia, odwiódł kurki i spiął konia. Ale koń ani się ruszył.

Droga teraz była węższa, a na niej pełno krzaków gęstych i ciernistych.

Manuel widząc, że koń się waha, spiął go silnie ostrogami. Koń skoczył naprzód i popędził dalej. Ale nagle coś błysnęło, wystrzał rozległ się z głębi lasu, kula świsnęła... i Manuel de Maugeville krzyknął. Potem nogi jego wyprostowały się, ciało zsunęło z siodła i upadł między gęste krzaki. Koń przestraszony popędził dalej, ale już bez jeźdźca.

. . . .

— Jest! — ozwał się głos z krzaka.

— Sądzisz — zapytał głos drugi.

— Nie chybię nigdy żadne zwierzę, a gdy kto trafia sarnę w najszybszym biegu, nie chybi pewnie człowieka pędzącego galopem. Możesz sprawdzić mój strzał, ja uciekam!

Rozmawiający dwaj ludzie ukryci byli w krzaku o jakie trzydzieści metrów od drogi.

Ten, który wymówił ten straszny wyraz: „jest,“ jakgdyby to chodziło o jakiego zająca lub królika, zarzucił broń morderczą na ramię i poszedł spiesznie w gęstwinę lasu.

Ale drugi wyszedł z krzaków. Wyszedł na drogę, na której przy bladym blasku księżyca widać było coś, jakby bryłę czarną, rzucającą się konwulsyjnie.

Było to ciało Manuela de Maugeville, ugodzonego kulą w piersi, a który jeszcze pasował się ze śmiercią, leżąc w kałuży krwi.

Człowiek ten zbliżył się do niego.

Manuel jeszcze oddychał. Miał oczy otwarte i widział dobrze tego, który był jeżeli nie sam mordercą, to przynajmniej wspólnikiem mordercy. I człowiek ten patrzył na niego z radością dziką i straszną, z jaką indjanin wpatruje się w nieprzyjaciela, z którego zdarł skórę.

— Nie ożenisz się już teraz z baronową de Planche-Mibray — mówił ze śmiechem szyderczym.

— Morderco!... — jęknął Manuel i zamknął oczy.

— Michał miał słuszność — szepnął nieznajomy — strzał doskonały.

I gdy się nachylił z upojeniem ludożercy nad ciałem swego nieprzyjaciela, człowiek znowu jakiś wyszedł nagle z gęstwiny.

Człowiek ten ubrany był w habit i szeroki kapelusz. Przyszedł aż do miejsca, w którem leżał p. de Maugeville, ale tamten tak się wpatrzył w swego nieprzyjaciela, że nie słyszał nawet odgłosu jego kroków.

Wtedy nowy pustelnik położył mu rękę na ramieniu wołając:

— Morderco! morderco!...

Munito — gdyż on to był — cofnął się przestraszony i krzyknął:

— Wy! wy! — poznając nowego pustelnika — to wy!

— Morderco! — powtórzył starzec, a wznosząc rękę do nieba, rzekł:

— Bóg jest tam!

IV.

Wyjątek z dziennika l'Yonne; wtorek 26. kwietnia 186...

Nasza spokojna okolica jeszcze jest pod wrażeniem strasznego i tajemniczego wypadku, który przeraził wszystkich mieszkańców Coulanges. Oto co zaszło:

„Wszystkim znany był człowiek zacny i miły, szlachcic z dawnego rodu, noszący nazwisko barona de Planche-Mibray, a cała szlachta w Burgundji nosi jeszcze żałobę po tym człowieku, który się zabił tak nieszczęśliwie przed dwoma laty.

Nowe nieszczęście dotknęło ten zacny i godny dom de Planche-Mibray, który jest chlubą naszej okolicy od wielu wieków.

Od kilku dni rozeszła się wiadomość, która wszystkich napełniła radością. Pani baronowa de Planche-Mibray, wyrzekając się wiecznej żałoby, miała wyjść drugi raz zamąż. Miała poślubić syna naszej Burgundji, potomka rodziny nie mniej dawnej i nie mniej czcigodnej, jak Planche-Mibray.

Manuel de Maugeville — nazwisko także sławne z fatalności, gdyż nie zapomniano dotąd końca tragicznego Gastona de Maugeville, jego stryja — Manuel de Maugeville, powtarzamy, miał zostać mężem baronowej de Planche-Mibray po ukończeniu żałoby.

Prawie co dzień, młody dziedzic de Maugeville jeździł z zamku swego du Seuil, położonego na granicy Nivernais, do pałacu de Planche-Mibray.

Przed trzema dniami, w piątek, hrabia d'A... urządzał wielkie polowanie w lasach Frettoye. P. de Maugeville proszony był na to polowanie.

O ósmej godzinie z rana, p. de Maugeville był w zamku de Planche-Mibray, w ubraniu myśliwskiem. Tu rozpoczyna się historja smutna i tajemnicza, za której prawdziwość ręczymy, chociaż podobna raczej do romansu.

Pani de Planche-Mibray była jakoś dziwnie niespokojna, nie pojmując dlaczego, gdy p. de Maugeville powiedział jej, że jedzie na to polowanie. Prosiła go nawet, żeby został, lecz potem wstydząc się tego dziwnego niepokoju, mówiła mu aby jechał, skoro się obiecał.

Jednakże dodała: „Ale przyjedź pan wieczór; czekam z kolacją.“

P. de Maugeville pojechał.

Miejsce zebrania było przy Słupie Arcybiskupa.

Notarjusz z Chatel-Censoir, p. Bompoint, który także jechał na to polowanie, spotkał pana de Maugeville na krańcu lasu, rozmawiającego z starą kobietą, znaną powszechnie w Coulanges i w całej okolicy, zwaną Brehaigne, a która się trudni niewinnem wróżbiarstwem. Stara kobieta wróżyła panu de Maugeville, który pokazał jej rękę, i z czego uśmiał się notarjusz, człowiek nadzwyczaj wesół, a wyznawca Voltera. Stara mówiła mu:

— Widzę tu wiele szczęścia i powodzenia, ale jedna linja nie podoba mi się; może się panu wydarzyć wkrótce nieszczęście.

Te słowa — mówi p. Bompoint — dziwnie dotknęły pana de Maugeville, który wahał się, czy jechać dalej, i chciał już wracać do zamku de Planche-Mibray. Żarty jednak przyjacielskie notarjusza skłoniły go do zostania i pojechali dalej razem.

Polowanie udało się doskonale. P. Bompoint i p. Maugeville wracali razem, podczas gdy inni myśliwi jechali w kierunku Courson. Jechali nawet razem blisko milę, aż do rozdroża zwanego Dębem krzywym. P. Bompoint spostrzegł na twarzy pana de Maugeville, że niepokój jego dawny znów powrócił.

— Nie jestem zabobonnym — mówił — ale przepowiednia Brehaigne ściga mię, jak wspomnienie snu przykrego.

Notarjusz starał się go trochę uspokoić morałami; gdy nagle usłyszeli głos jakiś w krzakach. (P. Bompoint zaręczył słowem honoru, że wszystko co opowiadał jest prawdą).

Głos, który usłyszeli, dawał przestrogę tajemniczą panu de Maugeville. Ale to zrobiło jeszcze większe wrażenie na nich, że niewidzieli nikogo i nie mogli odkryć, zkąd głos pochodził, chociaż przeszukali wszystkie krzaki nadaremnie.

P. Bompoint sądził, że to jakiś wybieg kłusowników, i starał się to przekonanie wlać w swego towarzysza.

Trochę dalej ten sam głos usłyszeli powtórnie. Lecz teraz zdawał się pochodzić z góry, a przestroga jego była bardziej wyraźna.

„P. de Maugeville — mówił głos — dobrze zrobi, jeżeli nie pojedzie tego wieczora do Planche-Mibray i powróci do swego zamku du Seuil.“

Notarjusz i p. de Maugeville szukali znowu w gęstwinie jak najstaranniej, lecz nie mogli znaleźć nikogo.

Odtąd niepokój pana de Maugeville powiększył się bardziej. Ale dobry humor pana Bompoint zwyciężył raz jeszcze.

Przybyli do Dębu krzywego. Tam p. de Maugeville wahał się znowu. P. Bompoint wyznał nazajutrz ze łzami w oczach, iż całe życie wyrzucać sobie będzie, że radził, aby nie wracał do domu.

Wahając się jeszcze trochę, p. de Maugeville zdecydował się nareszcie pojechać dalej i tu się obaj rozłączyli. Odtąd nikt nie widział pana de Maugeville.

Pani de Planche-Mibray, która koło ósmej godziny słyszała odgłos trąbki i wyobrażała sobie, że to jej narzeczony oznajmia swój powrót, czekała go daremnie całą noc w największym niepokoju.

Ludzie w Coulanges kładą się zwykle spać wcześnie; jednakże dozorca śluz utrzymuje, że koło dziewiątej godziny wieczór, słyszał na moście tętent kopyt końskich i miał mówić do żony:

— To pewnie p. de Maugeville wraca z zamku de Planche-Mibray do siebie.

Nazajutrz rano baronowa de Planche-Mibray wysłała służącego jednego do Seuil, drugiego do Courson.

Ten, który jechał do Seuil, spotkał się w drodze z ogrodnikiem pana de Maugeville. Człowiek ten biegł przestraszony, dać znać, że koń jego pana powrócił sam, a że stajnia była otwarta, wleciał do stajni.

Dopiero o czwartej godzinie z rana masztelarz się spostrzegł, że koń powrócił. Kropla krwi, którą spostrzegł na siodle, przestraszyła go.

Służący powrócił z ogrodnikiem do Planche-Mibray.

W nocy, oberzysta w Coulanges, ojciec Fremiot, zachorował nagle, niebezpiecznie i chciał zrobić testament. Dlatego wysłał pospiesznie syna swego do Chatel, do pana Bompoint. Notarjusz przyjechał i był jeszcze w Coulanges, gdy pogłoska się rozeszła, że pani de Planche-Mibray bardzo niespokojna o pana de Maugeville, i że koń tegoż powrócił sam do Seuil, a siodło jego zbryzgane było krwią.

P. Bompoint opowiedział wtedy co wiedział, niepokój, obawy i wahanie się pana de Maugeville, którego zostawił koło Dębu krzywego. Pani de Planche-Mibray o mało zmysłów nie postradała.

Żandarmerja w Coulanges, natychmiast uwiadomiona, zaczęła poszukiwania. Odnaleziono ślad kopyt końskich koło winnic, potem za mostem de Coulanges na drodze.

Ze śladów kopyt łatwo było rozpoznać, że koń pędził galopem, trawiony bezwątpienia przestrachem.

Szli śladem wstecz, który zaprowadził ich do lasu, na dwieście lub trzysta metrów od Dęba krzywego. Tam znaleziono kałużę krwi, ale trupa nie było.

Las w tem miejscu z obu stron jest bardzo gęsty i prawie do nieprzebycia. Przeszukano wszędzie ale nadaremnie. Nadaremnie także szukano śladu kroków lub krwi, i trzeba było porzucić tę myśl, że p. de Maugeville mógł się gdzieś zawlec.

Przetrzęsiono las, jakgdyby pole orne. Nie ma drzewka, gałązki ani krzaczka, któregoby nie obejrzano starannie.

Wszystko co dotąd wiedzą, jest tyle, że zbrodnia została popełniona. Ale co się stało z ofiarą?

Straszna to zagadka, którą trudno odgadnąć. Wiele osób zaaresztowano, ale nic się nie wykryło. Rodzina Balthazar w Mailly le-Chateu, która ma bardzo złą reputację, została cała aresztowana, potem wypuszczona. Matka i trzej synowie udowodnili, że nie wychodzili z domu tej nocy, w której morderstwo popełniono.

Podejrzenie potem przeniosło się na pustelnika, który żyje w lesie. Lecz i tego puszczono na prośbę samej pani de Planche-Mibray.

Dotąd nie wiedzą nic, nic nie odkryto, i wszyscy są przerażeni.

W niedzielę baronowa, która jest opatrznością całej okolicy, chciała być na mszy św. Zemdlała wszedłszy do kościoła.

Nie jesteśmy wstanie opisać trwogi, jaka panuje w Coulanges i całej okolicy. Notarjusz z Chatel-Censoir jest niepocieszony i oskarza się głośno o przyczynę śmierci p. de Maugeville. Nareszcie jeszcze jedna tajemnica do tylu innych: stara kobieta, która przepowiedziała nieszczęście panu de Maugeville — Brehaigne — znikła, i niepodobna jej odnaleźć.

. . . .

Artykuł ten zajmował drugą i trzecią stronicę gazety l'Yonne, której format jest dość wielki. Gazeta leżała na stole w hotelu du Léopard, w sali jadalnej.

Jakiś człowiek blady i cierpiący przyjechał rano do hotelu pociągiem pospiesznym, z kobietą młodą i elegancko ubraną.

Właśnie kończyli śniadanie, gdy młoda kobieta wzięła do ręki dziennik roztargniona i zaczęła go przerzucać. Nagle krzyknęła zdziwiona, a podając gazetę swemu towarzyszowi, zawołała:

— Patrz, czytaj!

Kobietą tą była Corinna Destremont, a towarzyszem jej podróży, łatwo odgadnąć, Leon de Villenave.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dzisiejszym numerem kończy się prenumerata kwartalna. Załączając przekazy zwrotne, upraszamy o wczesne nadesłanie dalszej przedpłaty dla uregulowania nakładu.

Przedpłata wynosi we Lwowie i na prowincji kwartalnie 2 złr. Półrocznie 4 złr. w. a.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.